

„Moja mała Ipsak”

Odziana w szary, lekko przetarty płaszcz i opatulona szydełkowym szalikiem od babci, przysiadam na ciemnozielonej, trochę odrapanej ławce nad brzegiem zalewu. Jak zahipnotyzowana wpatruję się w rytmiczny ruch fal na tafli wody. Wokół wirują na jesiennym wietrze różnokolorowe liście. Zalotnie tańczą wokół mnie niczym w jeziorze łabędzim. Energicznie kręcą piruety, raz po raz zmieniając kierunek. Na ulotny moment nieruchomieją w powietrzu, po czym trochę niepewnie i jakby z rezygnacją opadają na ciemną tafle wody. Pogodzone z losem, poddają się nurtowi i powoli oddalają od brzegu, aż w końcu znikają z zasięgu wzroku.

Tymczasem wszystko wokół mnie porusza się, tańczy, pulsuje feerią jesiennych barw, jakby próbując nacieszyć się ostatnimi ciepłymi promieniami opadającego płynnie po nieboskłonie słońca. Czerwień, pomarańcz, żółć, wszystkie odcienie stworzenia radośnie starają się przekonać mnie do potęgi życia. Ale mnie, jakby na przekór, dopada ponura myśl, że cały ten kolorowy świat, jak co roku, nieubłaganie zmierza ku końcowi, że to ostatnie takie chwile radości i bez troski, że już niedługo nadejdą ciemne, zimne dni smutku i nostalgii.

Ukradkiem obserwuję smukłą, drobną postać spacerującą brzegiem wody. Próbuje nacieszyć się jej widokiem. Jej małe, prawie dziecięce loczki sterczą wesoło targane przez wiatr. I tylko ich białopiękny kolor zdradza upływ lat. Kiedy odwraca się, by odszukać mnie wzrokiem, przez jej twarz na moment przebiega cień niepokoju. Chwilę później nasze spojrzenia odnajdują się, a kiedy obdarowuje mnie pełnym ufności uśmiechem, moje oczy wypełniają się łzami. Moja babcia. Moja dzielna, dobra babcia. Jej krucha, lekko przygarbiona postać, jej zgrabne, choć naznaczone już artretycznym bólem nogi, które kiedyś niejednemu amantowi z pewnością zawróciły w głowie, jej zniszczone latami pracy dłonie – wszystko to rozczuła mnie i sprawia, że wzbiera we mnie fala miłości.

Od pierwszej strony opowiadania „O kurze, która opuściła podwórze” towarzyszą mi nowe dla mnie reakcje samej siebie. Wyciszyłam się trochę, jestem może odrobinę bardziej zamyślona, bardziej czujna na to, co nieuchwytnie przemyka na zewnątrz i wewnątrz mnie, myśli, skojarzenia, obrazy, emocje... Opieram się wygodnie o oparcie ławki, a słowa książki, jak fale, powracają, raz po raz poruszając we mnie najdelikatniejsze struny. Lawina myśli wiruje w głowie niczym jesienne liście niesione przez wiatr we wszystkie strony. Zaskoczona tym, jak pojedyncza opowieść rozbudziła we mnie zupełnie nowe przemyślenia, zastygam nieruchomo. Niczym podczas polowania na motyle, próbuję pochwycić niesforne myśli w niewidzialną sieć, by móc ułożyć je w całość i zrozumieć.

Przywołując w pamięci metaforyczną opowieść o kurze, która pełna godności idzie przez życie, odważnie walcząc o szczęście, o prawo do własnych wyborów i bycia sobą, coś we mnie pęka. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przez postać zwierzęcia przebija obraz mojej babci, naszej rodzinnej „kury domowej”, która nigdy nie pracowała zawodowo, i którą każdemu z nas nie raz zdarzyło się potraktować protekcyjnie. Bo przecież, co babcia może wiedzieć o życiu, o

współczesnym świecie, o konkurencji i codziennej walce w bezlitosnym wyścigu szczurów. Ile takich „kur Ipsak” mijamy codziennie na ulicy? Ile niepozornych, przygarbionych, starszych osób wolnym krokiem przechodzi każdego dnia obok nas, będąc często niezauważonymi lub zignorowanymi. Bo przecież nie nadają się już ani do „znoszenia jaj”, ani na rosół... Zaprzatnięci własnymi, „ważniejszymi” sprawami nie zastanawiamy się, ile pięknych historii i wspomnień mają w sobie starsi ludzie. Ile odważnych decyzji, wielkich i małych marzeń, ile troski o bliskich niesionej pod skrzydłami życia i ile poświęcenia do ostatniego piórka kryją ich przygarbione postaci? Oni znają już smak sumy podjętych decyzji. Smak drogi, na której, jak każdego z nas, czekała ta jedna, kluczowa decyzja, esencja moralnej jakości naszego życia: czy owinąć się złudnym płaszczykiem poczucia bezpieczeństwa, uspokoić kostką słodkiego konformizmu próbujące wyrwać się galopem sumienie? Czy przykryć oczy klapkami z dzianiny wygody i przewidywalności, by nie odstawać od reszty, by broń Boże nie wychylić się z rzędu, a najlepiej zając pewne, zaklepane miejsce na podwórku? A może zamknąć na moment oczy, wsłuchać się w wewnętrzny głos, wziąć głęboki oddech i ruszyć przed siebie w nową sytuację, w której przyjdzie nam zajrzeć łasicy w oczy, zmierzyć się z nieznaną wciąż rzeczywistością i z samymi sobą?

Myśli zbierają się w całość, a do mnie zaczyna docierać, jak fragmentaryczny i niesprawiedliwy obraz własnej babci nosiłam dotąd w wyobraźni. Mojej odważnej babci, która w trudnych czasach powojennych zgłiszczy opuściła rodzinny dom i wyruszyła za swoją miłością na drugi koniec kraju; mojej dzielnej babci, która w wypadku straciła dziecko, a mimo to nie poddała się tragedii; ciepłej i wyrozumiałej mamy, która wzięła pod skrzydła osieroconą dziewczynkę, przysposobiła i wychowała jak własną córkę; i wreszcie sprawiedliwej kobiety, która nikomu nigdy starała się nie odmawiać pomocy.

Spoglądam na stojącą w oddali starszą panią. W promieniach zachodzącego słońca nie mogę dostrzec wyraźnie jej twarzy. Widzę tylko kruchą, naznaczoną minionymi latami postać. Emanuje z niej spokój, nieopisana wręcz wewnętrzna siła i godność osoby, która przeżyła życie, najlepiej jak umiała, odważnie i w zgodzie z własnym sumieniem. To moja babcia, ta która od zawsze w skupieniu spoglądała na mnie, pytając, czego ja pragnę, zaszczepiając we mnie ciekawość świata i wspierając w realizacji moich marzeń. I nagle, nachodzi mnie myśl: jak to się stało, że babcia wie o mnie wszystko, a ja nigdy nie zapytałam, jakie ona miała pragnienia, jakie marzenia, kiedy była młoda? Czy czuje się spełniona? A może czegoś żałuje? Czy w tym drobnym, lekko przygarbionym już ciele tli się jakieś marzenie, które wciąż czeka na spełnienie? A jeśli tak, to czy zdąży się ziścić?

Wstaję z ławki i podchodzę do mojej małej, skromnej Ipsak. „Chodź babciu, czas już na nas. Przyjdziemy tu jutro o tej samej porze.” Babcia nic nie odpowiada. Uśmiecha się tylko ciepło i głaszcze mnie po policzku, a moje ciche „ja” echem w głowie podszeptuje słowa książki: *ktoś umiera i ktoś się rodzi. Niemal jednocześnie przeżywa się rozstania i spotkania. I dlatego właśnie nigdy nie wolno pogrążyć się całkowicie w smutku.*